Nr. 43. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 19 Października 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Studjum literackie

Walerego Przyborowskiego.

......Pisarz jest to natężona struna na arfie bytu — z któréj dłoń ducha czasu sobie właściwe i odpowiednie tony wydobywa.....

Z moich notatek.

I.

Wiek ośmnasty. — Jego charakterystyka. — Stan ówczesnéj Polski. — Ludzie. — Wyobrażenia.

Zabierając się do pisania o Kajetanie Węgierskim, wypada mi wprzódy choć pobieżnie przypatrzyć się wiekowi ośmnastemu, gdyż tym sposobem łacniéj nam przyjdzie zrozumieć poetę — sama postać jego jaśniéj a wybitniéj się nam zarysuje. Wiek to wreszcie tak obfity w olbrzymie wypadki, w olbrzymie postacie i idee nowe, że trud podjęty w celu poznania go, stokrotnie się wraca. Chwila na którą padł żywot Węgierskiego jest chwilą ciszy, chwilą bolesną, przykrą i straszną, brzemienną w wielką przyszłość... to téż w czasie owym czuć nietylko bóle zbliżającego się porodu nowych idei, ale i szamotanie się jakieś głuche w toniach socjalnych, dziwny rozstrój duchowy, szukanie po omacku dróg nowych, które jeszcze mgłą są pokryte, absolutna niewiara nawet w ateizm, afektacja tego ostatniego bez uznania go za prawdę, błąkanie się, prostytucja ducha, żywot szalony, hulaszczy, bez celu i jutra, byle zabić chwilę, co jak duch Banka, blada i senna, ściga wszystkie myślące głowy ówczesne... Ztąd wyradza się ciągły niepokój, awanturnictwo, które w zeszłém stuleciu dochodzi do takich rozmiarów, jak nigdy przedtém. Europa cała zasiana jest tajemniczemi jakiemiś postaciami, powstałemi Bóg wié zkąd i gdzie, a które wdzierają się wszędzie, wszędzie są i wpływ nawet niepomierny wywierają. Wiek to Casanowy, Cagliostra, Dzierżanowskiego, księcia de Nassau i wielu innych. Są to typy w swoim rodzaju, całości skończone w danym kierunku. Każda z ówczesnych osobistości ważniejszych ma w sobie przynajmniéj jeden rys, co przypomina któregokolwiek z wyż wspomnionych. W Polsce nawet awanturniczość owa przybiera wielkie rozmiary. Wkrada się w politykę, wdziera w wyobrażenia dotąd uważane za święte i niszczy je, nawet w tych warstwach, których robak zepsucia czy powiew nowego ducha czasu nie dotknął jeszcze. Wszak to teraz pojawia się Strawiński, porywający Poniatowskiego na Miodowéj ulicy, teraz widzimy Zakrzewskiego i Tressemberga, dwóch nieznanych szlachciców myślących o zamordowaniu króla wśród pełnego sejmu w r. 1766[1]). A obok dziwnego rozkiełznania obyczajów ówczesnych widnieją iście katońskie cnoty takiego Korsaka, Rejtana, Wybickiego... Oto są sprzeczności, niedające się zrozumieć i wytłomaczyć niczém inném, jak tylko tém, że stary, średniowieczny ustrój socjalny rozkłada się powoli przed zbliżającym się duchem nowym.

[1]) Rulhière — Histoire de Pologne. Tom II.

Przeglądając owoczesne pamiętniki, których jest nieprzebrana ilość, dostrzegamy z małym wyjątkiem pomiędzy nimi pewien wspólny charakter, który przez to samo, może służyć za kardynalną cechę tamtoczesnego świata. Tacy Bartłomieje Michałowscy, Ochoccy są niezmiernie pospolici podówczas. Chcąc jednak dobrze zrozumieć ówczesną sytuację społeczną, trzeba najprzód na to zwrócić uwagę, że cała Polska dzieliła się wtedy na dwa wręcz sobie przeciwne obozy — pierwszy szlachecki par excellence, trzymający się starych przekonań, obyczajów, stroju i zwyczajów dawnych — drugi ześrodkowany wokoło tronu, małpujący ślepo francuzczyznę, zepsuty, próżny, lekkomyślny, pański i hulaszczy, gardzący starą szlachecką przeszłością, ale zarazem pełen tego ducha skeptycznego, co jest podścieliskiem postępu. Obóz ten wytwarza takich Ponińskich, Szczęsnych Potockich i t. d. Współczesny pisarz tak mówi o stanie Polski[1]): „Nierząd w domach, zgorszenie i rozpusta w familjach, niesprawiedliwość w sądach, zły przykład i nieoświecenie w duchowieństwie, nikczemność w wojsku, w całym rządzie niesubordynacja..." Posłuchajmy jeszcze jak drugi pisarz mówi o owym obozie panów, ludzi idących niby za duchem czasu[2]): „......ci wychowani po delikacku, pieszczeni w peregrynacji za granicą, tylko do tańców i podobania się fartuszkom wyedukowani, najmniejszego niebezpieczeństwa lękają się bardziéj jak ognia piekielnego a że tacy zajmują wszystkie urzędy najwyższe i oni składają obrady państwa, jakże się mają odważyć na ażard wojenny, piecuchowie, papinkowie, niewieściuchowie, jedném słowem teraźniejsi filozofowie. Oni najprzód radzą z kobiétami przy gotowalniach, co mają traktować w senacie...." A jeśli wśród téj zgrai niedołęgów, zjawi się człowiek czynu, to w guście Hugona Kołłątaja. „Był to człowiek, jak powiada znakomity historyk[3]), nie lubiący ciszy, do intryg skory, chciwy znaczenia i władzy a przynajmniéj aby w kole działania réj wodzić, być jego duszą — do gwałtowniejszych kroków skłonny, tak iż sądzono o nim, że chętnie by się skłonił do wznięcenia w kraju terroryzmu na sposób francuzki..." Cechą wreszcie wszystkich owych ludzi jest szukanie fortuny jakiemikolwiek bądź drogami, cynizm, niewiara nawet w swoją niewiarę. Ich uwielbienia dla Voltaira, Russa i innych, nie są szczere — moda tak kazała, więc chwalą. Są to nihiliści w całém znaczeniu tego wyrazu — trapieni przytém ciągłym jakimś wewnętrznym niepokojem. Koło króla, który jest skończoném zerem, kręci się mnóstwo „przychodniów, Niemców albo Włochów, którym nadawał indygenaty, nobilitacje, a czasem nawet i szumne tytuły"[4]). Zepsucie, bezwstyd dochodzi w téj warstwie narodu do potęgi. Pióro Kitowicza, tego księdza szlachcica, czarnemi farbami namalowało ich wszystkich — „pisarze perjodyczni, powiada[5]), wielbiciele królewscy, głodni pochlebcy, przeklinają w pismach swoich tych wszystkich, którzy dla niechęci do króla, dla ambicji, dla interesu prywatnego, psują zbawienne myśli jego królewskiéj mości około dobra publicznego. Lecz tego żaden nie napisał, że u króla to tylko było zbawienném, co dla niego pomyślném i co go od ulubionéj spokojności i miękkiego życia nie odrywało. Cokolwiek zaś było przykre, mężnéj odwagi potrzebujące, to niebezpieczne i zgubę krajowi przynoszące..." Albo w innėm miejscu[1]): „....między wielkiemi panami mało jest prawdziwych Polaków. Z ojca, są to synowie rozmaitych cudzoziemców, metrów, tancmistrzów, fechmistrzów, lingwistów, nareszcie kamerdynerów, fryzjerów, hajduków i Turczynów. Wszakże niedawno, żona jednego ministra koronnego urodziła murzyna. Mąż nie mógł żony martwić za tak jawne cudzołóztwo, bo z niéj panem został, ale niechcąc szpecić białéj swéj familji czarnym odrodkiem, kazał go ochrzcić inakszém imieniem i oddał do szpitala, do dzieci podrzuconych. Wkrótce potém umarł a pani żona wyjechała za granicę, żeby swobodniéj tam mogła rodzić choć niechcący dzieci zdarzone białe i czarne, albo pstrokate..." A już najlepiéj przedstawia nam stan obyczajów w pańskiéj i panującéj warstwie narodu, następny wypadek, który dla charakterystyki wieku, podług współczesnego pamiętnika w całości przytoczę[2]): „Gdy królowi Augustowi III królowa umarła w Dreznie na początku siedmioletniéj wojny, graf Bryl chcąc mu osłodzić po swojemu smutny stan wdowczy, namówił go na polowanie, w którém się kochał August, do dóbr Brzoza zwanych, o mil 12 od Warszawy leżących, księżnéj chorążyny koronnéj Lubomirskiéj, damy pierwszéj urody, z racji, że była urodzeniem Saska, zawsze przy dworze królewskim przesiadującéj, mile zawsze od króla widzianéj — z tego pochopu rozumiał Bryl, że król incognito skosztowawszy miłości, przybierze ją sobie za sekretną żonę — a na ten koniec w domu téj pani dano pokój sypialny królowi blizko pokoju sypialnego księżnéj i ta podług instrukcji ministra przeszła się blizko łóżka królewskiego. Postrzegłszy ją król spoczywający w łóżku przy świetle błyszczącém się na kominku, zawołał na hajduka: „zamknij drzwi, niech mi tu nikt nieprzychodzi." Tak nieudała się ministrowi napięta dla króla przysługa." Warstwa ta narodu szczycąca się cywilizacją, ideami postępowemi, gardząca konserwatyzmem sztaro-szlacheckim, w faktach przecież, po których sądzi się ludzi zwykle, była niekonsekwentną odpowiednio do słów, jakie głosiła. Na dowód niech posłuży kara iście dzika i barbarzyńska, jaką wykonał na Goncie pan Branicki, jeden z tych ludzi, co szli za cywilizacyjnym rydwanem Stanisława Augusta. Oto jak opowiada o tém Kitowicz[3]):

„....Gontę zaś przez trzy dni egzekwowano, udzierając z niego co dzień po jednym pasie, a dnia ostatniego po udartym pasie, brzuch mu otworzywszy, wnętrzności z niego wydarli i potém jeszcze żyjącego ćwiertowali. Godzien takiego okrucieństwa, który tyle tysięcy ludzi rozmaitém morderstwem zgubił, który z matek ciężarnych rozpłatanych żywe wydzierając płody o ściany rozbijał. Okrutnik, nie mający nad nikim miłosierdzia, sam go nad sobą nie pokazał, kiedy podczas egzekucji ani łzy z oka, ani słowa z ust nie wypuścił, tylko ścisnąwszy zęby, ryczał jak bydlę..." Fakt ten nie potrzebuje komentarzy — i dowodzi jak głęboko cywilizacja zapuściła korzenie w tych przodownikach narodowéj nawy. Cywilizacja dla nich była taką samą modą, jak peruki z harcapami — małpując dwór Ludwika XIV wraz z królem na czele, na prawdę w słowach i czynach zdobyć się nie mogli. Króla wreszcie dosadnie maluje współczesny pisarz, a zdanie to można w całości zastosować do całego tego stronnictwa[4]): „o królu Stanisławie mówią, powiada ten pisarz, że posiadał w wysokim stopniu dwa wybitne przymioty, to jest: kłamał nieustannie i płakał według własnéj woli."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Listy Anonima do Stanisława Małachowskiego — p. 7.
[2]) Pamiętniki księdza Kitowicza (edycja I. Łukaszewicza). Tom I. p. 209.
[3]) Joachim Lelewel w Panowaniu St. Augusta (edycja szósta w Brukselli) p. 169.
[4]) Julian Bartoszewicz: Panowie niemieccy — p. 65.
[5]) Pamiętniki Kitowicza (edycja A. Wójkowskiego) p. 250.

[1]) Pamiętniki Kitowicza (edycja I. Łukaszewicza) Tom I. pag. 212.
[2]) „ „ (edycja A. Wojkowskiego) pag. 62.
[3]) Ibidem — p. 116.
[4]) Życie Sułkowskiego, Hortenzjusza de St. Albin, pag. 84.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

VII.

Zyberg odbywa zwycięzką kampanję.

Powróćmy teraz do kapitana Zyberga, którego zostawiliśmy pędzącego na koniu ku gospodzie. Za małą chwilę stanął koń zadyszany przed karczmą. Zyberg zeskoczył, podał cugle stojącemu w pobliżu wieśniakowi i wszedłszy do obszernych sieni karczmy, zapytał żyda, który wybiegł naprzeciw niego usłużnie:

— Masz tu jednego gościa, z którym się widzieć muszę! Gdzie jest ten żyd ze Lwowa, który miał interes do pani hrabiny?

— On właśnie czeka na posłańea ze dworu — odpowiedział żyd — a teraz chciał już posyłać drugi raz z listem do Jaśnie Pani, bo, jak powiada, ma bardzo pilny interes.

— Pokaż mi go, gdzie jest? — zapytał kapitan głosem na pozór spokojnym, który zdradzał jednak, że w piersi Zyberga kipiało.

— On tu w osobnéj izdebce stoi — odparł żyd prowadząc Zyberga do małych i brudnych drzwi w kącie ciemnych sieni.

Zyberg postąpił szybko ku drzwiom a odprawiwszy żyda, otworzył i wszedł do środka. Pod oknem, przy małym, kulawym stole siedział Sauger i pisał coś na kartce siwego papiéru, usiłując pokonać nieposłuszne narzędzia do pisania, których mu udzielił gospodarz.

Na odgłos otwierających się drzwi Sauger podniósł oczy od papiéru, a ujrzawszy kapitana powstał szybko z krzesła a twarz mu pobladła widocznie.

Kapitan zaryglował szybko drzwi za sobą, zamknął je na klucz, który schował do kieszeni, i zbliżył się do lichwiarza. Sauger trwożnie oglądnął się do koła, a potém rzucił szybkie spojrzenie na okno, jakby chciał przez nie wyskoczyć. W téj chwili Zyberg już stał tuż koło niego.

— Padam do nóżek Wielmożnemu Panu — rzekł pierwszy Sauger kłaniając się nizko — pan zapewne mnie nie zna, ale ja znam pana kapitana.

Zyberg nic nie odpowiedział, ale pogardliwém i grożném spojrzeniem zmierzył żyda, a potém usiadł. Nastąpiła chwila milczenia. Sauger, który ukradkiem świdrował oczyma kapitana, uspokoił się nieco, a choć blady był od mimowolnéj trwogi i pomięszany, usiłował udawać zupełną swobodę. Kapitana twarz była zarumienioną od wzburzenia, a oczy zdawały się miotać iskry. Siedział nic nie mówiąc, jakby się chciał wpierwéj umiarkować i uspokoić, nim przystąpi do rozprawy.

— Czegoś tu przybył kanal... żydzie! — zapytał nagle Zyberg tłumiąc na wpół wypowiedziany komplement.

Sauger łypnął oczyma z jadowitym wyrazem i odparł swym cichym, syczącym głosem:

— To jabym o to pana kapitana mógł zapytać. Ja jestem u siebie. Czém mogę służyć panu dobrodziejowi?

— Czegoś chciał od hrabiny Rokickiéj? — zapytał Zyberg.

— Pani hrabina wié, czego, a dla innych to rzecz obojętna — odparł Sauger, który odzyskał cały swój zwykły kontenans, myśląc, że jest panem sytuacji, i że Zyberg albo o niczém nie wié, albo wiedząc, przychodzi jako poufnik hrabiny.

— Hrabina o niczém nie wié.

— Pisałem list do pani hrabiny.

— Nie czytała go.

— Tém gorzéj — odparł sucho Sauger.

— Czytał go kto inny... — ciągnął daléj kapitan.

— Nie moja wina. Ja żałuję że tak się stało.

— Masz powód żałować... żydzie — rzekł kapitan — bo list ten dostał się w moje ręce. — Przyszedłem się zapytać, co to znaczy?

Tu Zyberg wydobył list pomięty i pokazał go Saugerowi.

— Czy pan kapitan czytał list?

— Czytałem.

— Teraz ja pana kapitana będę miał honor zapytać, co to znaczy?...

Kapitana twarz straciła rumieniec a okryła się złowrogą bladością. Było to zwykłe stadjum w temperamencie kapitana. Znaczyło to, że gorączkowa niecierpliwość i zwykła porywczość gniewu opuściła go, i że jéj miejsce zajęła jakaś zimna, żelazna a straszna decyzja.

Z nadspodziewanym spokojem, który jaskrawo odbijał od niedawnego rozdraźnienia sięgnął Zyberg do zanadrza swéj sieraczkowéj kurtki i wydobył z niéj pistolet, bez którego, starym obozowym zwyczajem, nigdy nie opuszczał domu.

Sauger ujrzawszy broń w ręku kapitana drgnął na całém ciele od przestrachu i pobladł jak kréda.

— To znaczy — rzekł Zyberg odpowiadając na poprzednie szydercze zapytanie Saugera — to znaczy, że tym razem nie ujdziesz mi, Sauger! Jeźli nie skłonię cię do tego, abyś przyjął moje warunki, natenczas, patrz, to mój ostatni argument!

— Szczególny sposób płacenia długów... — syknął przez zęby Sauger.

Kapitan nic nie odpowiedział, ale odciągnął kurek, opatrzył piston i położył pistolet przed sobą na stole.

— Panie Zyberg! — zawołał Sauger — co pan zamyślasz?...

— Zamyślam strzelić ci w łeb, jak psu — odparł zimnym i stanowczym głosem kapitan — jeźli mnie zmusisz do tego!

— Pan kapitan żartuje... — rzekł drżącym głosem Sauger, próbując się uśmiechnąć.

— Słuchaj Sauger! Popatrz mi w oczy i powiedz, czy wyglądam na człowieka, który żartuje? Jesteś zbrodniarzem i łotrem, którego uczynić nieszkodliwym, będzie zasługą. Palnę do ciebie, jak w jasną świecę, a wierz mi, nawet ręka mi przytém niezadrży. Słuchaj mnie, Sauger, i uważaj dobrze, co mówię. Jesteś upiorem, który ssał pot i krew niejednego nieszczęśliwego, który był klątwą życia mnóstwa ludzi. Znam cię dobrze, wampirze! Na twoich siwych włosach ciężą łzy, twoje ręce obryzgane są krwią! Popatrz na twoje dłonie, stary, nikczemny łotrze, ażali krwi na niéj nie znajdziesz! Na tych szponach twoich obrzydliwych jest i moja krew serdeczna, krew mego bratanka, Antoniego. Wszak pamiętasz go, nędzniku?! Wiedz o tém, że zhańbiłeś i zabiłeś mi dziecko, wiedz o tém, że chcesz mi zhańbić i zabić teraz przyjaciela, niosąc mu w dom burzę, wstyd i nieszczęście! Nie jestem rozbójnikiem, i nie chcę wydzierać ci twych zysków lichwiarskich! Nie jestem katem i niechcę cię sam karać za twoje zbrodnie, nędzarzu! Ale jestem strażnikiem czci tego domu, który kocham, i żal mi tego chłopca, co się w sieć twą szatańską uwikłał. Nie przychodzę też z samą kulą ołowianą, ale przychodzę i ze złotem. Zrobię ci propozy-

cję i żądam jéj przyjęcia. Jeźli jéj przyjąć nie zechcesz i nie wyrzekniesz się owoców twojéj intrygi, natenczas, przysięgam, zabiję cię. Przysięgam jako katolik, jako starzec nad grobem stojący, jako oficer, który nigdy nie złamał słowa w życiu; przysięgam ci na mój honor i na cześć moich włosów siwych, że albo propozycję moją przyjmiesz, albo żyw ztąd nie wyjdziesz!

Sauger struchlał pod wpływem téj przemowy. Zyberg wyrzekł to wszystko z takim zimnym spokojem i tonem tak strasznéj decyzji, że Sauger nie mógł słów jego uważać za prostą pogróżkę. Gdyby Zyberg był szalał i rzucał się, gdyby był wybuchał gniewem gwałtownym, nie byłby tak strasznym, jak teraz, w tym złowrogim spokoju.

— Czegóż pan żądasz odemnie? — zapytał Sauger drżącym i pełnym trwogi głosem.

— Wydaj mi natychmiast wexel, który posiadasz!

— Czy pan go zapłaci?

— Zapłacę, ale zgodzić się musimy na cenę.

— Czy pan wié, ile wart ten wexel? — zapytał Sauger, któremu się oczy dziwnie przy tych słowach zaiskrzyły.

— Wiem przynajmniéj, że go na sześć tysięcy oceniłeś...

— Kto go na sześć tysięcy ocenił?! — zawołał Sauger impetycznie — ja go tak nie ocenił? Sześć tysięcy?! Co znaczą sześć tysięcy za taki wexel? On wart pięć razy tyle!

— Wexel opiewa przecież tylko na sześć tysięcy!

— Co to znaczy? — rzekł żyd z demonicznym uśmiechem. — Za kilka tygodni da mi za niego sam Jarski dwadzieścia tysięcy, a pani hrabina Rokicka dziś mi go chętnie za trzydzieści odkupi, jeźli się dobrze potarguję!

— Milcz! — przerwał Zyberg — i pamiętaj, co ci powiedziałem na samym wstępie. Wexel twój opiewa na sześć tysięcy; wiem że najmniéj liczysz dwieście za sto, azatém kosztuje cię dwa tysiące.

— Dwa tysiące!! — syknął żyd prawie z wściekłością.

— Powiedziałem, że niechcę ci odbierać twoich lichwiarskich zysków. Dam ci cztery tysiące a ty mi oddasz wexel.

Rzekłszy to kapitan utkwił wzrok swój groźny a spokojny w Saugera. Potém wydobył pęk bankowych biletów i ściskając je w lewéj ręce, wziął do prawéj pistolet.

— Daję ci pięć minut do decyzji. Dłużéj nie będę czekał — a potém niechaj nam obom Bóg będzie miłościw!

Sauger zgrzytał zębami, rzucał jadowite spojrzenia na kapitana, wykrzywiał twarz swą jakby była fantastyczną jaką maszkarą, mówił, syczał, bełkotał, targował się, odgrażał... ale na Zybergu nie robiło to wrażenia.

Kapitan patrzał spokojnie na zegarek i czekał upływu terminu. Nagle wstał, i zapytał:

— Zgoda?

Sauger badawczo spojrzał na Zyberga, jakby chciał wyczytać z jego twarzy, czy istotnie gotów jest spełnić groźbę. Kapitana twarz była blada, spokojna, a straszny wyraz decyzji nie ustąpił z niéj ani na chwilę.

Sauger wydobył wexel i rzucił go na stół kapitanowi. Zyberg wziął go spiesznie, bacznie obejrzał, i odetchnąwszy głęboko, jakby po ciężkiém przesileniu, schował go do kieszeni. Sauger tymczasem z twarzą, na któréj przebijał się ohydny wyraz bezsilnéj wściekłości, liczył leżące na stole pieniądze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

STARA PRAWDA.

(Przez autora pieśni „Moje Sny.“)

Słyszałem kiedyś mędrca obcego,
Jak z boskiéj szydził opieki,
I na traf ślepy dobra i złego
Zdawał los świata na wieki. —

A jam mu odrzekł: — innéj ja wiary,
Znanéj w mych ojców zakonie,
Ona mnie uczy, że wszelkie dary
Wszechmocne rozdają dłonie.

Wszystko co stworzył, wielkie i małe
Bóg ma na zawsze w swéj pieczy,
I pyłek ziemi, i światy całe,
I słaby ród ten człowieczy.

Czy Bóg na niebie gwiazdę zapali,
Czy dziecię na świat powoła,
Dzieli im miłość na równéj szali,
I składa w ręce anioła;

A stróż ten święty gwiazdę na niebie,
I drobne dziecię na ziemi
Zarówno strzeże, broni w potrzebie,
Osłania skrzydły złotemi.

I naród wszelki w czasu przestrzeni
Bąg tą opieką otacza,
Lecz wieniec życia w cierń mu zamieni,
Gdy z drogi prawdy on zbacza.

Jeśli tych cudów chcesz wielbić treści,
Zajrzyj w nasz żywot wiekowy,
Tam wzory szczęścia i wzór boleści
Dał w dziejach Izrael nowy.

O! bo my jedni w tym raju żyli
Co świat marzeniem dziś zowie,
I jedni męki takie przebyli,
Jakie pieśń tylko opowie!

Przez długie wieki kraj mój ten drogi
Najczystszéj sławy miał syny,
A piękne córy, jak niegdyś bogi,
Strzegły ogniska rodziny.

I było w kraju, jako w kościele
Gdy zstąpi Pan przy ofiarze, —
W myśli blask prawdy, w duszy wesele,
W sercach miłości ołtarze.

Z upadkiem cnoty, odbiegły łaski, —
Któż nie zna zmian naszéj doli?
Wśród zmierzchu dziejów sławy odblaski,
Wawrzyn, i łańcuch niewoli!

W téj długiéj dobie, krwawéj i zmiennéj,
Świat już nie wydał, prócz szału,
Ni jednéj myśli w czynie zbawiennéj,
Ni świętéj chwili zapału.

Dziś on się tarza w hańbie i złocie,
I duch w nim powolnie kona,
A na dziejowéj stoi Golgocie,
Polska samotna, skrwawiona.

Na krzyż jéj patrzy, z rozkoszy tronu,
Świat ten z nazwy Chrystusowy,
Niezdolny uczcić nawet jéj zgonu
Prostemi miłości słowy.

On własnym jadem karmi jéj dzieci,
Trawi je szału płomieniem,
W młodzieńczéj duszy bunt myśli nieci,
Do walki wiedzie z sumieniem;

A sam bogactwa otoczon blaskiem,
Wśród cyrku pogańskich wzorów,
Płaci jałmużną, albo oklaskiem
Krew nowych gladjatorów;

I wiernych synów przy grobie matki
Poczet co chwila maleje,
Giną ofiary i sił dostatki,
Drogie przyszłości nadzieje,

A fałsz i zawiść, te cnót morderce,
Niecne dary z piekieł ręki,
Szarpią dziś biedne téj matki serce....
I to są te wielkie męki!

„Więc gdzież opieka?“, mędrzec zawoła,
„Wszak całun wam ziemię kryje?“
O! nie — bo jeszcze widne dokoła
Te piersi w których kraj żyje.

Próżno dziś bluźni ciemna dzicz wschodu,
I cierń nam wbija na skronie,
Nie zgaśnie płomień życia narodu,
Bo w rodach wiecznie on płonie.

One wśród dziejów naszych cmentarzy,
Jak te oazy nieznane,
Zielenią wiosną, o któréj marzy
Serce narodu stroskane; —

Tam dawna wiara, tam życia siła,
Gwiazda przewodnia w pustyni,
I tam ta cnota, co dziś zstąpiła
Z dziejów do rodzin świątyni.

W te to ustronia, gdy łez już tyle
Zaćmiło dziejów pogodę,
Cichego szczęścia Bóg zsyła chwile,
Wiernéj drużynie w nagrodę.

Jeśli téj łaski chcesz poznać dary,
I szczęścia tego mieszkanie,
Idź gdzie dom stary, obyczaj stary,
A krzyż i szabla na ścianie;

A po tych godłach nie zbłądzisz z drogi,
I wzorów znajdziesz niemało,
Bo w inne szczęścia kraj mój ubogi,
Lecz mu to wiernem zostało.

O! wejdź w te wnętrza — tam od powicia,
I wiary i dziejów słowo
Uzacnia duszę, — tam ogród życia
Gdzie rośnie latorośl zdrowo.

Jak kwiat co z pączka kielich wychyla
Karmi się rosą wiosenną,
Tak młoda dusza tam się zasila
Przeszłości prawdą promienną,

I rój snów złotych czerpie w tym zdroju,
Bo cóż się młodości nie śni?
Dziewczę o Wandzie, młodzian o boju,
Marzą przy dziejów tych pieśni, —

A na to szczęście, co znów tam gości
Po tylu nadziei stracie,
Ze ścian domowych patrzą w radości
Poważne ojców postacie,

I duch ich, czystym prawdy strumieniem
Z duszy do duszy przepływa,
I wszystkie chwile życia swém tchnieniem
W miłości spaja ogniwa!...

„Drobne obrazki!“ rzekł mędrzec w dumie
Co cyrklem cud życia mierzy; —
O! nie — bo przecież serce rozumie
Ile prawd świętych tam leży.

Dwie są miłości z życiem poczęte,
Co cnotą zdobią nam czyny,
Dwie bliźnie gwiazdy, dwie siostry święte,
Miłość kraju, i rodziny.

Jako wód krople, jak liście drzewa;
Jako pieśni tony wiewne
Bóg łączy w całość, — tak w nas on zlewa
Te dwie miłości pokrewne;

W jednéj z nich zakład cnoty jedyny
Tu, od kolebki do grobu,
Druga dziejowe wije wawrzyny,
A wspólne szczęście w nich obu.

Dziś od zatraty cnót onych zaród
Rodziny tylko ustrzegły,
A źródła życia, gdy w więzach naród,
Jak krew do serca tam zbiegły;

Więc żyć ich życiem dla nas nie marno,
Bo serce w sercu tam czyta,
I tam się kształci przyszłości ziarno,
Jak perła w morzu ukryta.

Kiedyś! — gdy nowe dziejów nam zorze
Zabłysną wśród nocy cieni,
Żeglarz ojczysty skarb wyjmie z morza,
I ze łzą w oku oceni;

Bo na ten klejnot poświęceń tyle
I łez się składało w darze,
Że gdyby bezeń żyć można chwilę,
Bóg by go przyjął w ofiarze!

O! jeśli prawd tych duch twój nie pojmie,
Okryj się, mędrcze! żałobą,
Bo czarna rozpacz wnet serce dojmie,
I Bóg już nie będzie z tobą! —

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

II.

Teorje stronnictwa katolickiego i pamfleta Jezuitów.

(Ciąg dalszy.)

§. XXIV.

Praktyki Ligistów są nam znane z historji. Niedość jednak było dokonać tylko ha iebnych uczynków i podstępnych mordów w imie czystéj idei Boga, niedość było podnieść bratobójcze sztylety, trzeba było dać jeszcze bezwstydną uczynków swoich teorję.

Kaznodzieje-jezuici z ambon kościelnych wysławiali imiona morderców Wilhelma Orańskiego, głosili apologję zarówno królobójców jak sprawców nocy Śgo Bartłomieja[1]); podczas gdy inni z łona szanownego zakonu wydelegowani bracia zasady te piśmiennie rozprzestrzeniali.

Pierwszém z tych mających nas zajmować pism, jest Wilhelma Rosego „De justa reipublicae christianae in reges impios authoritate" z 1590 r. Sam tytuł dzieła wskazuje, jakie zasady piórem autora jego kierować będą; zasady te jednakże za wyznanie bona fide wiary republikańskiéj, jakby się pozornie wydawać mogło, brać niemożna. Rose bowiem tak jak wszyscy politycy stronnictwa katolickiego w XVI wieku idei republikańskich używa za środek do celu, który niczém mniéj nie jest, jak republikanizmem.

Państwo (Respublica), mówi Rose, samo sobie stanowi rząd i formę jego, samo modyfikuje go stosownie do czasu, miejsca i innych okoliczności. Jeżeli państwo przyjmuje formę rządu monarchiczną, to z woli ludu na tronie osiadły król nic bez woli tegoż ludu poczynać nie powinien. Prawa ludu trwają bez przerwy, dobra publiczne są jego własnością, lud ma nakoniec moc modyfikowania i ograniczania monarchji jak mu się tylko podoba, a to ze służącego mu prawa Boga i natury.

Z takiego stanowiska, które Rose zajmuje, odgadnąć łatwo, iż króla występującego przeciw woli ludu, iż monarchę ciemiężącego poddanych nazwie Rose tyranem? — bynajmniéj!

Podług Rosego tyranem nie jest król-ciemiężca, targający się na mienie i życie obywateli, lecz tyranem jest król-heretyk, przeciwny interesom kościoła. Rose daje rysopis nawet takiego tyrana;' rysopis ten bynajmniéj nie odpowiada twarzy Karola IX, tego króla „arcy-litościwego" jak go nasz autor nazywa, tego celnego strzelca z nocy Bartłomieja, którą Rose nazywa czynem „pełnym sprawiedliwości i honoru", lecz przypada zupełnie do osoby Henryka IV.

Teraz już wiemy o co chodzi w teorji Rosego!

Czy złego króla należy zabijać? zapytuje on.

„Tak długo, jak lud za króla go uważa, nie, lecz jak skoro lud ogłosił go za tyrana, to wszelka wątpliwość ustaje. Na śmierć zatém z tyranem — t. j. z królem-heretykiem, każden bowiem król-heretyk jest tyranem, — tak każe rozum i pismo święte, taki przykład dał nam Jakób Clement, ten przeczystéj niewinności młodzieniec, „innocentissimus et praeclarissimus juvenis."

Tak jak książka Rosego była wymierzoną przeciw Henrykowi IV de Navarra-Bourbon, tak też dzieło:

[1]) Patrz: Ch. Labitte „Les prédicateurs de la Ligue."

§. XXV.

Jana Boucher'a „De justa Henrici III abdicatione e Francorum regno" (Lugdun 1581 ap. Pilleloth), poświęcone jest usprawiedliwieniu detronizacji Henryka III[2]). Dzieło to, o którém fakultet teologiczny uniwersytetu paryzkiego nadając przywiléj wyraża się, iż jest utworem pobożnym, służącym ku nauce i zbudowaniu ludu, dzieli się na 4y księgi:

1sza traktuje o prawie detronizowania monarchy w ogóle;

2ga o słuszności detronizacji Henryka III ze stanowiska prawa kościelnego;

3cia o téjże słuszności ze stanowiska polityki;

4ta o formie i postępowaniu przy detronizacji.

Zasadą przewodniczą autorowi jest dowiedzenie, iż władza detronizowania króla należy przedewszystkiém do kościoła, następnie zaś do ludu.

Co do pierwszego to Boucher nic nowego nie dodaje nad argumenta, których walczące w wiekach średnich papieztwo używało. „Papież, mówi on, niema prawa detronizowania króla lub zmieniania ustaw państwowych według swéj woli i wprost — lecz ma obowiązek czuwania nad dobrém kościoła i zbawieniem duszy, jeżeli zatém modlitwą i udzielanemi przestrogami nic zrobić nie jest w stanie, to uzyskuje prawo do rozwiązania poddanych od przysięgi na wierność i oddania rządu cywilnego nad swoją owczarnią w ręce godniejszego."

Przy rozbieraniu drugiego punktu t. j. władzy ludu

[2]) Boucher był jednym z proboszczów Paryża, dzieło jego napisane podczas oblężenia stolicy, nosi na pierwszéj stronie napis charakterystyczny: „Ex praecepto superiorum." Wydane zostało po śmierci Henryka III, autor zaręcza jednak, iż jeszcze użyteczném być może, ponieważ znalazł się nowy Henryk (IV.).

Jan Boucher Dr. teol. i proboszcz Śgo Benedykta w Paryżu był może najżarliwszym poplecznikiem Ligi. W jego to mieszkaniu odbyło się pierwsze posiedzenie Ligistów (1585) i z jego to kościoła odezwał się pierwszy głos dzwonu w nocy 2go września 1587.

Maimburg w historji Ligi ks. III, str. 359 mówi, wspierając się na dzienniku Antoniego Loysel, iż Boucher był wspólnikiem Jakóba Clement, a Bayle dodaje, iż Maimburgowi wierzyć można zupełnie. Tegoż zdania jest Varillas w historji Henryka III.

Po śmierci Henryka III zwrócił Boucher całą nienawiść przeciw Henrykowi IV, a po przyjęciu przez tegoż religji katolickiéj utrzymywał, iż postępek ten Bearneńczyka jest tylko wybiegiem, że zatém dana mu absolucja wagi niema. W tym czasie miewał przeciw niemu kazania, które potém wydał i ofiarował kardynałowi Placencji. Tytuł téj książki jest: „Sermons de la simulie conversion et mullité de la prétendue absolution de Henry de Bourbon, prince de Béarne, à S. Denys en France, le Dimanche 25 Juillet 1593, sur le sujet de l'Evangelie du mesme jour: attendite a falsis prophetis etc. Math. 7. — Prononcez en l'Eglise de S. Mery à Paris depuis le 1 Aust jousques au 9 du dict mois. Par J. Boucher Dr. en Theol — Nonne qui oderunt te Domine oderam, et super inimicos tuos tolescebam. Psalm 138." Książka ta wyszła w Paryżu u G. Chaudière, R. Nivelle i R. Thierry, rue S. Jaques, 1594. — Na odwrotnéj stronie znajduje się pochwała teologów. — Wygnany z kraju jako zły Francuz, umarł Boucher w Tournai w 1630 r. jako kanonik.

do składania z tronu panującego monarchy, przeczuwa Boucher, iż właściwe polityce katolickiéj argumenta wystarczyć mu nie będą mogły, nie robiąc sobie zatém skrupułów, exploatuje zasady protestanckie, a łącząc filozoficzne spekulacje Langueta z historyczną metodą Hottomana, rezonuje w następujący sposób:

„Państwo (Respublica) i lud ustanawiając monarchę, nie zrzekają się bynajmniéj swéj zwierzchności, owszem zachowują zawsze swą władzę nad obranym królem. Bóg, lud i król umawiali się wspólnie — król może zmuszać lud do szanowania praw Boga, lecz lud ma tęż-samą władzę nad królem; lud może występować przeciw wiarołomnemu opiekunowi i zwierzchnikowi zdrajcy, ponieważ wojna w obronie ołtarzy i ognisk domowych jest słuszniejszą nad inne[3]).

Widzimy, iż Boucher bierze teorje protestanckie in crudo, stawiając zaś czyste axiomata, nie zadaje sobie nawet trudu choćby najdrobniejszego, uzasadnienia, lub cokolwiek głębszego rezonowania. W jednym tylko kierunku idzie on nierównie daléj aniżeli którenkolwiek z pisarzy protestanckich, aniżeli nawet najbezwzględniejszy z nich Languet. Przyprowadza on bowiem do ostatecznego rezultatu, dotąd tylko powierzchownie wspominaną teorję monarchomachji. — Teorja ta po raz ostatni podjęta w starożytności piórem Cycerona, odradza się po raz pierwszy w wieku XI, w pismach przyjaciela i powiernika Tomasza Becketa Jana z Salisbury[4]). Teorji téj niebył przeciwny ani Hincmar, ani Tomasz z Aquino, ani téż żaden z wojujących papieży. W wieku XV wygłasza ją publicznie Jan Petit a konsyljum kostnickie niszczy wyrok wydany na niego przez Sorbonnę. — W wieku XVI dopiéro teorja ta znajduje licznych wyznawców, lecz nikt tak dobitnie, z taką lubością jéj nie wyznaje, jak Jezuici i Boucher.

Teologowie, mówi Boucher, rozróżniają trzy następujące rzeczy:

1) Tyrana uzurpującego władzę nieprawnie, i tyrana nadużywającego władzy legalnéj.

2) Nadużycia i bezprawia przeciw osobom prywatnym i przeciw władzy publicznéj.

3) Prawo władzy publicznéj i prawo osobiste.

Z tego wyprowadzają się następujące wnioski:

„Tyran-uzurpator może być zabity tak dobrze z rozkazu władzy publicznéj, jak téż przez każdego człowieka prywatnego. Tyran zaś posiadający władzę legalnie, może być zabity tylko z rozkazu władzy publicznéj. Tyran zdradzający interes publiczny winien być sądzony przez władzę publiczną, lecz exekucja wyroku należy do osób nawet prywatnych.“ „Pierwszy wniosek, mówi Boucher, jest sam przez siebie jasny, użycie bowiem siły przeciw grabieży prywatnéj jest słuszne, cóż zaś dopiéro kiedy idzie o rzecz publiczną. Drugi zaś wniosek polega na rozróżnieniu bezprawia publicznego od prywatnego. Co do krzywd osobistych, to tych nikt sam mścić niema prawa, nietylko bowiem sprzeciwiało by się to słowom apostołów, lecz sprowadziło by w państwo a nawet w familijne życie niepokój i zamięszanie. Co zaś do bezprawia publicznego to na tyrana, uznanego przez ogół za nieprzyjaciela dobra publicznego, każden powinien podnieść rękę, jako na szalone zwierzę.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[3]) Prawo obrony honoru domowego, godności osobistéj, religji i wolności zawsze i wszędzie znajdowało i znajduje wymownych przedstawicieli. Stawia go oględny i spokojny Luther, przemawiają za nim wszyscy Reformatorzy i pisarze protestanccy. Boucher staje również w jego obronie, lecz tylko na to, aby go przeciw protestantom i przeciwnikom Ligi obrócić Patrz L. I. c. 29.

Prawo to niedające się niczém obalić prześlicznie określił Fryderyk Schiller w tragedji swéj „Wilhelm Tell“ słowami Stauffachera:

„Eine Gränze hat Tyrannenmacht,
Wenn der Gedrückte nirgends Recht kann finden
Wenn unerträglich wird die Macht, greifft er,
Hinauf getrossten Muthes in den Himmel,
Und holt herunter seine heiligen Rechte,
Die oben hingen, unveräusserlich, und unzerbrechlich wie die Sterne selbst;
Der alte Zustand der Natur kehrt wider,
Wo Mensch dem Menschen gegenüber stehet,
Zum letzten Mittel, wenn kein and'res mehr verfangen will,
Ist ihm das Schwerdt gegeben!
Der hüter höchstes dürfen wir vertheidigen,
Wir stehen für unser Land, unsere Weiber, unsere Kinder.“

[4]) „Posiadamy, mówi Jan z Salisbury, dwa instynkta, t. j. miłość sprawiedliwości i miłość użyteczności. Z pierwszéj wyradza się miłość wolności i ojczyzny, z drugiéj tyranja. Z miłości wolności tyranja również wyrodzić się może, jeżeli kochamy wolność tylko dla siebie, nie zaś dla drugich. Wolność jest pewnością życia, niewola zaś, ten skutek tyranji, jest obrazem śmierci.“ — „Różnica między królem a tyranem jest ta, iż król broni i przestrzega praw i wolności ludu, tyran zaś gwalci prawa i ujarzmia lud. Król jest obrazem Boga na ziemi, tyran zaś jest obrazem Lucypera. Król, obraz Boga, winien być czczony, szanowany, kochany; tyran zaś, uosobienie złości piekielnéj, winien być wiecznie ścigany i zabity.“

Patrz Jana z Salisbury „Policraticus“ Lib. VIII, c. 5 i 17 „Niewolno jest schlebiać przyjacielowi, lecz wolno jest schlebiać temu, kogo jest wolno zabić. Zabić tyrana nietylko jest wolno, lecz mord ten jest czynem aequum et justum“, tamże Lib. III. c. 15, Lib. VIII. c. 18.

TRZY SPOTKANIA.

(Z Turgenjewa).

(Ciąg dalszy.)

Stanąłem zapatrzony... raz jeszcze ujrzałem ją na ciemnym widnokręgu jasno słońcem oświetloną, poczém zniknęła mi za pagórkiem. Ja — stałem i stałem — wreszcie wolnym krokiem wróciłem do lasu i usiadłem przy drodze, zasłoniwszy sobie ręką oczy. — Zrobiłem spostrzeżenie, że po spotkaniu całkiem nieznanych nam osób, potrzeba tylko zamknąć oczy, aby sobie ich rysy uprzytomnić; każdy może z łatwością doświadczyć prawdy tego twierdzenia na ulicy. Im znajomsze są twarze, tém trudniéj nam przychodzi je wywołać i tém niewyraźniéj staje nam ich obraz; mamy ich rysy w pamięci, ale nie przed oczyma... własny obraz najtrudniéj nam bywa odtworzyć... Najmniejszy rys pojedynczy jest nam przytomnym, ale zestawić całości niepodobna. Dla tego usiadłem i oczy zakryłem dłonią — i natychmiast téż wywołałem obraz nieznajoméj, jéj

towarzysza, koni obojga, wszystkiego... szczególniéj wyraźnie zaś i dokładnie stawała przedemną uśmiechnięta twarz mężczyzny. Chciałem ją sobie wyryć w pamięci... zatarła się i zniknęła wreszcie zupełnie w jakiéjś mgle purpurowéj a po niéj i obraz pięknéj kobiéty zniknął i już nie dał się wywołać. Wstałem. „Cóż szkodzi!" — rzekłem sobie w duchu — „widziałem ją, przyjrzałem się obojgu dokładnie... Pozostaje mi tylko dowiedzieć się ich nazwiska."

Słońce stało już wysoko na niebie (zegar wskazywał dwunastą), gdy zwróciłem kroki ku dworowi. Nie spieszyłem się bynajmniéj. Wreszcie stanąwszy na wzgórku zobaczyłem niski domek zdala... znów mi serce silniéj uderzyło; podszedłem bliżéj i nie bez pewnego rodzaju radości spostrzegłem Łukjanicza; siedział jak zwykle nieruchomie na ławeczce koło oficynki. Brama i okiennice były zamknięte.

— Dzień dobry stary! — wołałem już zdaleka. — Grzejesz się na słońcu.

Łukjanicz odwrócił ku mnie twarz swą zmarszczoną i milcząc uchylił czapki.

Podszedłem do niego.

— Dzień dobry, powtarzałem, dzień dobry, aby go dobrze usposobić... Powiedz mi czy pani twoja już wstała?

— Tak, już wstała!

— I... czy jest w domu?

— Nie, niema jéj w domu.

— Pewnie wyjechała z odwiedzinami w sąsiedztwo? Co?

— Nie, wyjechała do Moskwy.

— Jakto do Moskwy! dziś rano przecież była tu jeszcze.

— Tak, była tu dziś rano.

— I noc tu przepędziła?

— Tak, tu nocowała.

— I niedawno temu dopiéro przybyła?

— Tak, niedawno.

— Jakże więc to należy rozumieć mój kochany?

— Jak najprostsze tu tłomaczenie; przed godziną wyjechała do Moskwy.

— Do Moskwy?

Zdumiały patrzałem na Łukjanicza; czegoś podobnego nie spodziewałem się zupełnie...

I Łukjanicz patrzał na mnie... lisi uśmiech ściągnął mu wargi a w oczach ponurych i smutnych zwykle zabłysł jakiś ledwie dostrzeżony wyraz.

— I odjechała razem z siostrą? wymówiłem wreszcie.

— Razem z siostrą...

* * *

Upłynął tydzień. — Jakkolwiekbądź, starałem się wszelkie wspomnienie o nieznajoméj, jéj towarzyszu i mojém z niemi spotkaniu usunąć z myśli, — powracało ono ciągle, bezprzestannie, cisnąc się z natarczywością poobiedniéj muchy... I Łukjanicz z tą swoją tajemniczą miną, z powstrzymywanemi słowy i smutnozimnym uśmiechem stawał mi często w pamięci. Nawet dom, gdym o nim pomyślał, zdawał się z po za przymkniętych okiennic przemawiać do mnie drwiąco: a przecież niczego się nie dowiesz. Wreszcie nie mogłem już wytrzymać; pewnego pięknego poranku wyjechałem do Glinnoje a ztamtąd udałem się pieszo... dokąd? — łatwo przyjdzie to odgadnąć czytelnikowi.

Wyznać muszę, że gdym się zbliżał do tajemniczego dworu, doznawałem dość silnego wzruszenia. Dom zewnętrznie w niczém się nie zmienił: też same szczelnie zamknięte okna, tenże spustoszały pozór; tylko na ławeczce przed oficynką siedział zamiast Łukjanicza młody może dwudziestoletni chłopak w długim żółtym narodowym kaftanie i czerwonéj koszuli. Głowę oparł na ręce i drzémał, — od czasu do czasu tracił równowagę i wtedy się budził.

— Dzień dobry, mój kochany! zawołałem głośno.

Skoczył nagle i szeroko rozwarł oczy.

— Dzień dobry, mój kochany! powtórzyłem: — gdzież stary?

— Co za stary? zapytał wolno chłopak.

— Łukjanicz.

— A, Łukjanicz! — Obejrzał się dokoła. — Pan chcesz się widzieć z Łukjaniczem?

— Tak, z Łukjaniczem. Czy jest w domu?

— N...nie, rzekł młody chłopak poziewając: — on... jakże mam to Panu powiedzieć...

— Może chory?

— Nie.

— Cóż mu się więc stało?

— Tak już go niema.

— Jakto, nie ma go już?

— Tak. Stało mu się... nieszczęście.

— Umarł? zapytałem zdumiony.

— Powiesił się, wymówił chłopiec półgłosem.

— Powiesił! zawołałem z przestrachem i załamałem ręce.

— Powiesił.

Poglądaliśmy obaj na siebie milcząco.

— Jakże to dawno? spytałem wreszcie.

— Pięć dni temu. Wczoraj go pochowano.

— Ale czemuż się powiesił?

— Bóg to wié, nie zbywało mu na niczém; państwo lubili go bardzo. Zachodzimy w głowę, jaki mógłby być powód.

— Jakże to się stało?

— Jak najzwyczajniéj, powiesił się.

— A poprzednio czy nie dostrzeżono w nim jakiéj zmiany, czyście nic nadzwyczajnego nie spostrzegli?

— Jakże mam to Panu powiedzieć... coś niezwykłego... chybaby, że... zupełnie nic. Zawsze był milczący i zamyślony. Czasami skarżył się: że mu smutno, mówił. No, był téż już stary. Czasem przychodził do nas, do wsi; ja jestem jego siostrzeńcem. — „No, Wańku, mówił — przyjdź dziś na noc do mnie!" — Czemu to, wuju? — „Tak, — boję się czegoś gdym sam; smutno mi." I szedłem z nim. Wtedy zazwyczaj gdy weszliśmy już w podwórze poglądał na dwór smutno, potrząsał wciąż głową i wzdychał... Przed ową nocą gdzie życie jego miało się już skończyć, przyszedł również do nas i zawołał mnie. Więc poszedłem z nim; gdyśmy przyszli siadł jak zwykle na ławeczce, podumał chwilkę, potém wstał i odszedł. — Czekałem długo, ale nie nadchodził, więc wszedłem w podwórze i zacząłem wołać: „Wuju! Wuju!" ale wuj nie odpowiadał. Myślę — gdzieby on też mógł pójść, może do dworu? tam więc poszedłem go szukać. Już się ściemniało, przechodząc koło pustego pokoju w którym jest skład starych rupieci usłyszałem szelest; otworzyłem drzwi; Łukjanicz siedział przy oknie. „Co tam robisz, wuju?" zapytałem. Zwrócił się nagle ku mnie i krzyknął przeraźliwie, a oczy jego biegały i błyskały wśród ciemności jak u kota. „Czego chcesz odemnie?" a głos był straszny, ochrypły. Włosy stanęły mi na głowie i sam nie wiem czemu zrobiło mi się tak strasznie... Poszliśmy na noc do oficynki. Leżeliśmy już, nocna lampka paliła się w kącie, ja drzémać zacząłem... nagle posłyszałem skrzypnięcie drzwi, jakby je kto zwolna otwierał. Wuj leżał plecami odwrócony do drzwi i, jak to sobie Pan pewnie przypominasz, od dawna już niedosłyszał. Tym razem jednak porwał się szybko z posłania: „Kto mnie woła? kto? on przyszedł po mnie, po mnie!" i wybiegł bez czapki na podwórze. Pomyślałem „co mu się téż stało?" ale wkrótce, jeśli mam powiedzieć prawdę, sen mnie zmorzył... Nazajutrz, gdym się zbudził... Łukjanicza nie było. Wyszedłem

z pokoju, wołałem go, — daremnie. Pytam stróża: „Nie widziałeś czasem gdzie wuj poszedł?“ „Nie — odpowiada — nie widziałem go wcale.“ „Wiesz co, batku — mówię — on gdzieś zniknął...“ „Ah?!“ — jakiż strach ogarnął nas obu! „Chodź, pójdziemy go szukać we dworze“ rzekłem. Poszliśmy do dworu; gdym przechodził koło pustéj izby, w któréj go wczoraj znalazłem, spostrzegłem klucz w zamku, — pchnąłem drzwi — z wewnątrz były zamknięte. Stróż pobiegł czemprędzéj do okna. Posłyszałem krzyk jego straszny, — wybiegłem za nim, w samym środku pokoju, u sufitu zawisł trup Łukjanicza... Posłano po sąd.. zdjęto go; na dwanaście węzłów zawiązał sobie stryczek.

— Cóż sąd powiedział?

— Co sąd powiedział? Nic. Rozmyślali nad tém z jakiego powodu powiesił się Łukjanicz; ale nie mogli znaleść przyczyny. Orzekli więc, że cierpiał obłąkanie. Jak na to, w ostatnich czasach skarżył się często na ból głowy...

Rozmawiałem tak jeszcze z Wańką z pół godziny i wreszcie, dziwnie pomięszany, opuściłem Michajłowskoje. Przyznaje się, nie mogłem bez tajonéj, przesądnéj jakiéjś obawy patrzeć na ten dwór opustoszony... W miesiąc po tém zdarzeniu opuściłem okolicę, i zupełnie zatarły mi się w pamięci wszystkie owe trwogi i tajemnicze zdarzenia.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja z Krakowa.

Lwów 7 października 1871.

Cisza zapanowała we Lwowie po zjeździe. Kilkudniowy gwar ustał, wszystko powróciło do dawnego trybu, a „martwa pora roku (saison morte)“, przerwana na dni kilka, rozpoczęła się na nowo z cechami tém wybitniejszemi, iż odbijały od ubiegłych niedawno kilku dni wesołych. Niedługie jednakże było to jéj ponowne panowanie: niebawem zawitał wrzesień, ustały skwary, a powiew chłodnego jesiennego wiatru przypędził do Lwowa wielu mieszkańców na wsi w lecie bawiących, i młodzież szkolną, któréj przybycie także miasto ożywiło Wkrótce i sejm się rozpoczął, — co także na wzmożenie się ruchu wpłynęło; obecnie dość go już, jak na nasze miasto, a hotele wszystkie — których nawiasem mówiąc — mamy trochę za mało — ciągle prawie zupełnie są przepełnione.

W téj porze przejściowéj dosyć zaszło wydarzeń, o których godzi się napisać. Oto w pierwszych dniach września rozpoczęły się przedstawienia w odnowionym świeżo teatrze. Już to przyznać należy, że się ta restauracja teatrowi naszemu od dawna należała; w urządzeniu całém nie wiele wprawdzie zmian zaszło, ale pod względem elegancji odnowienie to dość korzystnie wpłynęło; ciemno-amarantowe obicia wymagają tylko teraz nieco większego oświetlenia, — dobrze jednak na ich tle odbijają postacie widzów w lożach. W przedsionku teatralnym stanął wielki piękny posąg Stanisława Skarbka, założyciela dobroczynnéj fundacji drohowyskiéj i gmachu teatralnego; ostatnie to dzieło p. Parysa Filippiego, najzdolniejszego z naszych rzeźbiarzy, świadczy pochlebnie a wymownie o talencie artysty. — Przedstawienia w nowo odnowionym teatrze rozpoczęły się występami pani Aleksandry Rakiewiczowéj, artystki teatrów warszawskich. Żal mi niezmiernie, że brak miejsca i czasu, wynikający z przyczyny, którą na końcu przytoczę, nie pozwala mi sumiennem ocenieniem gry pani Rakiewiczowéj, oddać hołd należny jéj talentowi, — żal mi tém więcéj, iż niedawno w korespondencje swoje wplotłem dokładniejsze sprawozdanie o występach innéj znakomitéj artystki warszawskiéj; muszę poprzestać tylko na kilku pobieżnych ogólnych uwagach. Odrębne talenta obydwóch artystek odnoszą się do różnych zupełnie dziedzin w zakresie sztuki dramatycznéj. W rolach pani Modrzejewskiéj rdzeniem charakterów są strony piękne, szlachetne, idealne; są one zazwyczaj źródłem, do którego każdy, najdrobniejszy rys się odnosi; w charakterach z zakresu, w którym pani Rakiewiczowa panuje, najgłówniejszém znamieniem jest siła i potęga całéj istoty duchowéj, objawiająca się we wszelkich namiętnościach, którym takowa podlega. Jakoż ów dźwięczny, melodyjny głos pani Modrzejewskiéj tak stosowny dla Ofelji lub Julji, nie wystarcza na odzwierciedlenie gwałtownych czynników w duszy bohaterki tragicznéj działających; już w scenie ogrodowéj Marji Stuart z Elżbietą, braknie mu potrzebnéj siły. Pani Rakiewiczowa posiada głos potężny i ostry, tak, że razić może niekiedy ucho do niego nieprzywykłe; materjał ten silny lecz twardy nie daje się zawsze należycie naginać, wskutek czego nie zdoła czasami wycieniować uczuć tak subtelnie, jak miękki głos pani Modrzejewskiéj. Co do najwyższego, twórczego zadania artystki, trudno kilkoma pobieżnemi słowy ocenić talent pani Rakiewiczowéj, nie rozebrawszy indukcyjnie skalpelem krytyki każdéj jéj roli z osobna; jeżeli jednak wolno wyrazić zdanie, wynikające z ogólnego wrażenia, to zdaje mi się, iż łatwiéj odkryć jakiś dysonans w kreacjach pani Rakiewiczowéj, niż w téj Ofelji lub Julji, z których pani Modrzejewska umiała stworzyć całość tak harmonijnie artystyczną; łatwo to zresztą pojąć, gdyż odzwierciedlenie charakterów, miotanych różnorodnemi, splatającemi się z sobą, gwałtownemi namiętnościami jest zadaniem podobno trudniejszém niż oddanie ról pani Modrzejewskiéj, — zwłaszcza, że przeszkodą jest tu głos, o którym wspomniałem wyżéj. Krótkie to i tak niedostateczne sprawozdanie zakończę wymienieniem repertoaru pani Rakiewiczowéj: oto wystąpiła w Drahomirze i Deborze, w których najświetniéj rozwinęła zasoby swego znacznego talentu, — w Lady Makbet, w Marji Stuart Słowackiego, w Szklance wody Scribego i Ćwiartca papiéru Sardou, w Marji Tudor Hugona i Adrjannie Leconvreur; w téj ostatniéj sztuce wkroczyła artystka w zakres pani Modrzejewskiéj, jakoż porównanie ich wypadło bezwarunkowo na korzyść ostatniéj.

W ogóle dosyć zmian zaszło w stosunkach naszego teatru. Pan Władysław Woleński i żona jego Józefa, którzy niezaprzeczenie należeli do najlepszych artystów naszéj sceny, zerwali kontrakt z p. Miłaszewskim i udali się do Poznania. Natomiast powiększyła grono artystów panna Kwiatyńska z Warszawy; trudno ocenić jéj talent z jednego występu, zdaje się jednak, że scena lwowska cieszyć się powinna z takiego nabytku. Panna Kwiatyńska rozpoczyna dopiéro właściwie zawód artystyczny, dla tego brak jéj pewnéj potrzebnéj pewności i w ruchach i w modulacji głosu. W grze jéj widać znaczny wpływ gry pani Modrzejewskiéj, którą sobie zapewne w Warszawie za wzór obrała; — żałować tedy wypada, że obecnie nie mając we Lwowie tego wzoru, pozbawioną będzie dobroczynnego wpływu, który przy

niezaprzeczonym jéj talencie nie oddziaływałby niekorzystnie na samodzielność artystki. W każdym razie, jeżeli młoda artystka dołoży starań nad swym talentem, można się spodziewać, że Lwów będzie w niéj miał wcale dobrą pierwszą kochankę. — Również jakby o nowym prawie nabytku dla sceny naszéj, mówić można o pannie Deryng, która dotychczas pomimo skłonności do ról tragicznych, „po ukazu“ p. Miłaszewskiego musiała odgrywać role naiwne; z występu jéj w niełatwéj roli Joanny (w Marji Tudor) można wystawić artystce bez przesady bardzo piękny horoskop; nie jest to bowiem rzeczą łatwą, grać w jednéj sztuce z panią Rakiewiczową i zasłużyć sobie przytém na ogólne, zupełnie słuszne uznanie. — Na dopełnienie wiadomości o teatrze dodam, że zaczynamy nareszcie mieć recenzję teatralną; dotychczas mieściła się ona w pobieżnie redagowanéj kronice dzienników codziennych i zawierała zazwyczaj ogólnikowe anatemata potępienia lub szumne frazesy pochwalne dla poszczególnych artystów. W ostatnich czasach Gazeta Narodowa przekonała się, że lepszą bronią przeciw niedołężnéj dyrekcji jest sumienna recenzja niż ogólnikowe polemiczne wycieczki i powierzyła stały dział krytyki i sprawozdań teatralnych znanemu tu z fejletonu „Juniusowi“, który go sumiennie i należycie opracowuje.

W pierwszéj korespondencji wymieniłem jako dwa najszkodliwsze przytuliska germanizacji w naszém mieście: teatr i uniwersytet niemiecki. Z prawdziwą przyjemnością mogę wam dzisiaj donieść, że obiedwie te instytucje nie będą nam już dokuczać; przywiléj teatru niemieckiego, po zwalczeniu rozlicznych prawniczych trudności, został nareszcie zniesiony, a od przyszłéj wielkiéjnocy nie będziemy już mieli przedstawień niemieckich; — reskrypt cesarski o spolonizowaniu uniwersytetu wydał już — jak na teraz — pocieszające rezultaty. Oto wielu profesorów niemieckich przeniesiono na inne uniwersytety, — a reszta codzień oczekuje przeniesienia. Katedrę filozofji (po owym p. Barachu-Rappaporcie, o którym poprzednio pisałem), otrzymał Dr. Euzebi Czerkawski, dotychczas znany nam tylko jako znakomity pedagog. Ministerjum oświaty, znudzone długiém zwlekaniem fakultetu filozoficznego, dotychczas prawie tylko z kilku pozostałych Niemców złożonego, poleciło przedłożenie propozycji co do opróżnionych katedr ankiecie, którą miał złożyć namiestnik. Ankieta proponowała na katedrę historji powszechnéj Dr. Liskego a historji austrjackiéj Dr. Szaraniewicza, profesora gimnazjalnego, autora kilku dziełek historycznych źródłowych w języku polskim, ruskim i niemieckim; daléj, według propozycji ankiety, otrzymać ma katedrę matematyki Dr. Wawrzyniec Żmurko, botaniki Dr. Strassburger, profesor uniwersytetu w Jenie, niegdyś profesor b. Szkoły Głównéj w Warszawie, katedrę literatury niemieckiéj Dr. Janota, profesor gimnazjalny z Krakowa. Nominacje z Wiednia przyjść mają za dni kilka, a nowo mianowani profesorowie rozpoczynają już wykłady z 15tym b. m. w języku polskim. Doliczmyż do nich dwóch dawnych polskich profesorów: Dr. A. Maleckiego i Dr. Krentza (mineralogja) a widzimy już ich zastęp niemały, który w najkrótszym czasie jeszcze bardziéj się powiększy: w przeciągu roku będziemy już mieli zupełnie polski uniwersytet. — Już i co do spolonizowania tutejszéj akademji technicznéj wyszedł reskrypt cesarski a wykonanie jego nastąpi także w ciągu bieżącego roku. Oby wraz ze spolonizowaniem tutejszego uniwersytetu inny duch owiał większą część akademickiéj młodzieży, o któréj kilkoma słowy w pierwszéj korespondencji pisałem. Oto i w tym względzie mógłbym pocieszającą nieco wiadomość przysłać: niewielkie grono chcących pracować młodych ludzi zamierza zawiązać naukowe kółko akademickie, w któremby się koncentrowała umysłowa praca uniwersyteckiéj młodzieży. Niezadługo zamiary te wejdą zapewne w życie, o czém otrzymacie wiadomość, — tymczasem niech mi wolno będzie wyrazić serdeczne „Szczęść Boże“ zacnym usiłowaniom.

„Gazeta literacka“, jak wiecie o tém zapewne, skonała od półtora miesiąca na chorobę trawiącą wszystkie literackie pisma u nas, t. j. na brak funduszów. Pisma podobne, rozpoczynające żywot bez pewności o jutrze, są może bardziéj szkodliwe, niż pożyteczne; nie mając bowiem nawet dostatecznych funduszów na koszta druku, nie mogą płacić honorarjów autorom, — nie zdołają sobie zatém zapewnić potrzebnych sił literackich i zadowolnić się muszą artykułami otrzymanymi z łaski. Publiczność, w ogóle mało zajęta literaturą, ozięble przyjmuje podobne pismo; — zaabonuje je tylko kto czasem „dla wspierania usiłowań literackich“, co nie jest już normalném, ale sztucznem podtrzymywaniem produkcji umysłowéj. Jeżeli jeszcze podobne pismo, rozpocząwszy rozmaite prace różnéj wartości, przestanie wychodzić po kwartale istnienia, — nie trzeba się dziwić publiczności, że z nieufnością spogląda późniéj na każde wydawnictwo. — Słychać tu o nowém przedsięwzięciu literackiém: ma wychodzić miesięcznik naukowo-literacki, który się podobno pod szczęśliwszą, niż Gazeta literacka, gwiazdą urodzi. Mając zapewnione fundusze od majętnego a bezinteresownego nakładcy, zdoła ukazać się na świat od razu jako pismo istotnéj wartości, — nie potrzebując zaś polować ustawicznie za abonentami, będzie mógł samodzielnie utrwalić swój byt i rozwinąć się we właściwym kierunku.

O tém wszystkiém dowiecie się późniéj, a ktoś inny będzie tak szczęśliwy, że zapisywać będzie w waszém piśmie objawy budzącego się już wreszcie nieco ruchu umysłowego w naszém mieście. Ja zaś, opuszczając je dzisiaj na czas długi, może na zawsze, dziękuję wam za kącik, któregoście mi łaskawie przez pół roku w waszém piśmie udzielali.

S. A. S.

POKŁOSIE.

Władysław Bełza napisał komedję w 1 akcie ze śpiewami p. t. „Słowiczek.“ Jest to, jak się dowiadujemy, naśladowanie possy Jacobsona p. t. „Singvögelchen.“ Do śpiewów p. **M. Hertz** dorobił muzykę. Komedję tę wkrótce ujrzymy na scenie naszéj.

— **Oskar Kolberg** wydał w Krakowie dalszy ciąg Materjałów do Etnografji słowiańskiéj p. n. „Lud“, obejmujący okolice Krakowa. Zasłużony na tém polu autor zamierza ogłosić podobne dzieło, traktujące szczegółowo o ludzie wielkopolskim.

— Nowa opera Rubinsteina, którą kompozytor powierzył teatrowi cesarskiemu w Petersburgu nosi tytuł: **Demon.**

— Franciszek Liszt udaje się obecnie w podróż do Rzymu, który opuści załatwiwszy swe interesa. Zimę ma on podobno spędzić w Peszcie, w grudniu zaś będzie w Warszawie. Nieszczęściem jednak dla licznych wielbicieli jego talentu, nie da się słyszeć publicznie, od czasu bowiem jak przywdział zakonną suknię przestał występować w koncertach. Mimo to jednak War-

szawa pociesza się nadzieją, że choć nieliczni wybrańcy będą mogli podziwiać grę Liszta w kołach prywatnych miasta, gdzie maestro licznych osobistych ma przyjaciół.

— Dr. **Seweryn Robiński** jak się dowiadujemy, stara się o katedrę wakującą w uniwersytecie krakowskim po ś p. Dr. Gilewskim, z wszelką szansą powodzenia.

— Donoszą nam z miasta, że z ambony jednego z tutejszych kościolów wyklęto wychodzące w Krakowie humorystyczne czasopismo p. n. **Djabeł**. — Fakt ten jako curiosum w naszym wieku nieomylności, godzien jest zapisania.

— Grono naszych artystów dramatycznych z każdym dniem się powiększa; obok nowych nabytków, o których dotąd trudno ostatniego powiedzieć słowa, donoszą nam o przybyciu jednéj z najsympatyczniejszych dla Poznańczyków z dawnego towarzystwa artystki p. **J. Góreckiéj**.

— W zeszłą środę widzieliśmy na scenie naszéj komedję hr. Koziebrodzkiego: **Hrabia Marjan.** Opowiadać tę plecionkę luźnych a psychicznie nieuzasadnionych faktów nie uważamy za potrzebne. Pan Koziebrodzki przywykł widać patrzeć na ludzi w sztucznem oświetleniu salonów, widzieć ich w jasnych rękawiczkach i modnych frakach, ztąd też nie dziw, że nie zajrzał do treści ich ducha, bo w salonie pokrywa się on woskową stereotypową maską. Jeśli zaś chce autor coś pisać o tym duchu, tworzy go własną intuicją, a wtedy stwarza takie niebywałe postacie jak hr. Marjan, bez krwi i ciała, bez energji, nawet bez wszelkiéj idei; naleciało bohaterowi temu snać kilka wzniosłych myśli tu i owdzie w duszę, wyrosły w niéj ale bez związku, bez systematu, i widzowi trudno doprawdy zdać sobie sprawę z tego charakteru, trudno odpowiedzieć nawet czém właściwie jest ten bohater. Nie lepszym jest nadyr tego pseudo-zenitu wcielonéj szlachetności, Zenon, publicysta, choć zdaje się że kilka krések tego szkicu wzięto tu z życia; jest to nader niezręczny łotr, grożący bezprzestannie a czyn pozostawiający innym, jak n. p. Grockiemu, od którego oczekuje aby mu wyrobił szczęście; sam zaś patrzy zdala bezczynnie. Nie lepszą Michalina, ani zła ani dobra, figura na szachownicy ojca, ani baronowa, ani Róża nawet, obie wysoce bezbarwne. Jedyną stroną dodatnią jest p. Kalasanty Kulski i synek jego, oddani widocznie con amore. W ogóle sztuka ta cała robi wrażenie ślizgających się po woskowanéj posadzce marjonetek. Takie obrazki salonowe pana Koziebrodzkiego jak: „Po ślubie“ lub „Zawierucha“, można było czytać z przyjemnością, choć na scenie już niezmiernie traciły; Klaudja jednak i Hrabia Marjan nie zdołają się prawdopodobnie utrzymać w repertoarze teatralnym.

Oprócz téj sztuki widzieliśmy: Po naszemu tak wcześnie zmarłego zdolnego pisarza Zygmunta Józefowicza, Filiżankę herbaty, w któréj p. Dobrzański z roli Camoufflet'a prawdziwie typową a pełną humoru stworzył postać, Zosię Przybylankę hr. Skarbka, wyborną sztuczkę niedzielną, Przed śniadaniem Fredry (syna) i Pana Geldhaba, w któréj nowa artystka p. Jaworowska wystąpiła po raz pierwszy w trudnéj roli Flory, nie powiemy jednak aby zbyt szczęśliwie pochwyciła zasadnicze rysy téj córki parwenjusza, mieszkanki stolicy, pełnéj śmieszności wewnętrznych ale zewnętrznie nieco mniéj pewnie śmiesznéj, niż ją p. Jaworska przedstawiła; wreszcie Złotego młodzieńca St. Bogusławskiego, którego szczegółowy rozbiór pozostawiamy sobie na później.

— Panowie Władysław Bełza, Klemens Kantecki i Władysław Ordon pod egidą Dr. L. Rzepeckiego ogłaszają przedpłatę na „**Bibljotekę salonową**“, któréj pierwsza serja ma zawierać: Dwa opowiadania Bodzantowicza, Panią starościnę Horodelską Berlisza Sasa, Na dwóch krańcach Pauliny z L. Wilkońskiéj i dwie powieści tłomaczone — Jakkolwiek nie jesteśmy zwolennikami przeważnie powieściowego kierunku, jaki coraz wybitniéj występuje w naszém piśmiennictwie, przyklaskujemy szczerze nowemu wydawnictwu, jako niezaprzeczonemu objawowi polskości wśród panoszącego się germanizmu i życzymy mu jak największego powodzenia.

— Nakładem Breslauera w Warszawie wyszedł przekład polski **Dziejów Inkwizycji hiszpańskiéj**.

— W przeszłym numerze naszego Tygodnika donosząc o dziełku **Bronisława Wołowskiego** p. n. „Dombrowski et Versailles“, nie przeczuwaliśmy losu, jakiego się doczeka znaczna część tegoż wydania. P. Wołowski donosi nam, że rząd pana Thiersa, znanego nieprzyjaciela Polaków i Polski, skonfiskować kazał na granicy francuskiéj 2000 egzemplarzy wspomnianéj broszurki. Ocalona reszta nakładu znajduje się w Lipsku u Brockhausa i w Genewie u Richarda.

— **Moniuszko** wykończa obecnie jedno-aktową operę p. n. Beata, do któréj libretto napisał Jan Chęciński.

— Robert Hamerling wydał tragedję niemiecką p. n. **Danton und Robespierre**, czerpiąc swój przedmiot w pierwszéj rewolucji francuzkiéj, która pomimo wszelkich okrucieństw i bezdrożności wydała postacie typowe, oryginalne. Pierś ówczesnego republikanina, ogrzana miłością Ojczyzny, zdobywała się przecież na wielkie czyny, których od upadku Napoleona Wielkiego trudno się dopatrzeć w dziejach upokorzonéj dzisiaj Francji.

— Autora niemieckiego Ferdynanda **Gregorovius**, który za szczegółowy przedmiot studjów swoich obrał sobie Włochy, wyszedł czwarty tom dzieła p. n. „Wanderjahre in Italien“, zawierający podróż z Rawenny do Mentany.

— Wychodzący w Pradze czeskiéj „Vestnik Bibljograficky“ zamieszcza ciekawe zestawienie wydań i tłomaczeń Cerwantesowego **Don-Kichota**, który od roku 1605 aż do r. 1857 dożył wydań hiszpańskich 400, angielskich 200, francuzkich 168, włoskich 96, portugalskich 80, niemieckich 70, szwedzkich 13, polskich 8, duńskich 6, ruskich 2 i jednego wydania w języku łacińskim. Cyfry te przemawiają wymownie o liczbie osób, czytających tego rodzaju jak „Don-Kichot“ utwory piśmiennictwa, które jeszcze jako tako u nas wegetuje.

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa.

6.	Wna E. Wilkxycka z Wabcza	2 egz.
8.	St. Wönster z Kotkowa (Mixstadt)	1 „
9.	Ksiądz proboszcz Akoszewski w Buku	1 „
10.	Stefan Reuss w Trenchinie na Węgrzech	1 „

Skrzynka do listów.

Pani R... Tr.. w P... pod Buk...: Zażądaną książkę wysłano odwrotną pocztą; — przewyżkę 35 centów zapisaliśmy na przyszły kwartał. Pisemko „Promyk“ prenumerować można na wszystkich pocztach niemieckich, wprost w Redakcji Promyka w Poznaniu, lub też za naszém pośrednictwem.

P. L. Dolańskiemu w R... pod S...: Regularnie wysyłamy nasz Tygodnik, który jeżeli nie dochodzi, nie nasza w tém wina. — Poczty pruskie nie uwzględniając „Listów reklamacyjnych“, podwójne portorjum od nich każą opłacać.

Pani E... W... z W...: Odebraliśmy nadesłaną przesyłkę — za okazaną życzliwość serdeczne składamy dzięki.

P. T... Sz... ze Lwowa: Mając w tece kilka powieści autorów pierwszorzędnych, nie możemy korzystać z uczynionéj nam propozycji.

X. P... z K...: Stosownie do życzenia wysłaliśmy.

P. St. W... z K...: Nr. 37 naszego Tygodnika wysłaliśmy odwrotną pocztą.

Panu Dr. J... w Dôle: Życzeniu pańskiemu zadosyć uczyniono.

P. C... K... w Ismaïli: Odebraliśmy z Triestu dwanaście talarów.

PO NADZWYCZAJ TANICH CENACH

nabyć można za pośrednictwem redakcji Tygodnika Wielkopolskiego następujące dzieła nowe i antykwarskie:

Sąd i wyrok Poezyi przeciwko Polityce, 1865. New-York. Kuriozum literackie. 1 Tal.

Sjerp-Polaczka. Kalendarzyk katolicko-polski z drzeworytami na rok zwyczajny 1866, Toruń. 2½ sbr.

Simona Juliusza Rzecz o Szkole, — tłumaczenie z francuzkiego, 1866, Kraków. 20 „

Skiba Wołody: Pod jednym dachem, powieść, 1871, Poznań. 1 Tal.

— — Rodzina Orskich, powieść, 1869, Kraków. 15 sbr.

— — Kanarki, ustęp z Kroniki parafjalnéj, powieść, 1869, Lwów. 15 „

— — Na wędkę, fotografja bez retuszu, 1869, Lwów. 5 „

Słowacki Juljusz: Mindowe, król litewski, Obraz historyczny w pięciu Aktach, 1869, Lwów. 5 „

Skideł, Jan X. Celniejsze prawidła Homiletyki czyli Wymowy kazalnéj, 1835, Wilno. 20 „

Souvestre Emile: Le Mousse, comédie-Vaudeville en deux actes, 1846, Bielefeld. 2 „

Święty Izydor oracz, wszystkim rolnikom w życiu swojem i nabożeństwie za przykład do naśladowania przedstawiony, z niemieckiego przełożone z dodatkiem wielu nauk i modlitw, 1861. Kraków. 8 „

Syrokomla Wł. Ułas, Sielanka bojowa z błot poleskich, 1769, Lwów. 4 „

Szmurło Jan X. Bajki, Powiastki, Legendy, Satyry, 1861, Kraków. 5 „

Szostakowski J., Polska Grammatyka mniejsza ułożona, 1849, Trzemeszno. 5 „

Tellus, Projekt do statutu Stowarzyszenia interesów rólniczych, 1861, Poznań. 1½ „

Trentowski Bronisław: Stosunek filozofji do cybernetyki czyli sztuki rządzenia Narodem, 1843, Poznań. 15 „

Trewendts Volkskalender für 1868, Breslau, z siedmiu stalorytami. 10 „

Triller Daniel-Wilhelm: Poetischer Betrachtungen über verschiedene aus der Natur- und Sittenlehre hergenommene Materien, Sechster und letzterer Theil, nebst einigen Uebersetznngen, und vermischten Gedichten, 1755, Hamburg. 5 „

Turski Jan-Kanty: Antoni Morawski, rzeźnik, konfederat; — historja prawdziwa, 1867, Kraków. 2½ „

— — Ostatnia Wola, powieść z życia ludu górskiego, 1868, Poznań. 5 „

Ubermanowicz Sebastyan X. Pasterska Woyciecha świętego, funkcya nad wszystkie Honorów Gremincye godniejsza w dzień Jego uroczysty w Kościele Poznańskim tymże Imieniem Tytularnym przy pierwszéj Kaplańskiéj ofierze Kazaniem ogłoszona przez X Seb. Ubermanowicza, Societatis Jesu roku którego na ziemi najgodniejszy Pasterz dobry zawitał 1728 Permissu Superiorum. W Poznaniu, w drukarni Clari Collegii Soc. Jesu. — Rzadkość bibliograficzna 20 „

OGŁOSZENIA.

Nową nadsyłkę **otrąbków migdałowych, mydełek i parfum francuzkich**

odebrał i poleca skład rękawiczek i fabryka czapek

A. KNAFLEWSKIEGO

róg Wodnéj ul. i Ślósarskiéj Nr. 6.

Polecają się publiczności następujące książki, które nabywać można we wszystkich księgarniach polskich:

	tal.	sgr.
Mrówka, rocznik I. (1869) zawierający kilka obszernych powieści oraz prace pomniejsze blisko stu autorów polskich z illustracjami z 4 tal. na	1	15
Mrówka, rocznik II. (1870) odznaczający się nadzwyczaj ozdobném wydaniem, z wielką ilością illustracji zawiera kilka większych powieści oraz prace pomniejsze z 4 tal. na	2	
Dziennik literacki, rok 1870, cena zniżona z 8 talarów na	3	
Matejko, kaz. Skargi, duża litografja z 2 tal. na	1	
Bełcikowskiego, Hunyadi, dramat		12
Dąbrowski Jarosław (jenerał ostatniéj wojny). Krytyczny rys wojny austrjacko-pruskiéj i włoskiéj w 1866 r. z mappami i planami	1	15
T. T. Jeż. Opowiadanie Stasia, powieść		10
Komorowski Br. Rejtan, tragedja, cena zniżona		20
Libelt Karol. O kometach i gwiazdach spadających z portretem autora		12
Owce i Świnie, wiarogodna chińska historja przez jednego z Baranów		1
Wołody Skiba. Kręte drogi, powieść z portretem autora, wydanie ozdobne	1	20
— Na wędkę, powieść		10
— Wojak Janosz, przekład z węgierskiego		12
Sowiński Leonard. Słowo Bytu, zarys prawdy powszechnéj		9
— Fragment powieści, poemat		12
Szekspir. Król Lir, tragedja, przekład z angielskiego wierszem przez Adama Pługa		20
Szewczeńko. Najemnica, przekład z ruskiego wierszem przez Leonarda Sowińskiego z portretem autora		12
Tretiak Józef. Z pogańskich światów pieśń miłości.		12
— Królewska para, powieść	1	
Turski. Faworyt, komedyjka		5
— Zochna hrabianka, powieść		20
Wilkońska Paulina. Za posagiem, powieść		20

W Administracji „Mrówki“ we Lwowie po cenie zniżonéj można jeszcze nabywać komplety **Bibljoteki Mrówki** t. j. wszystkie poniżéj wyszczególnione 30 dzieł za 5 tal. nadsyłając takowe wprost do Lwowa pod adresem: Administracja Mrówki we Lwowie, przyczém książki wysyłają się odwrotną pocztą, — lub można też książki nabywać pojedynczo we wszystkich księgarniach polskich po cenach następujących:

	sgr.
1) Woronicz. Sybilla, poemat i Hymn do Polski.	4
2) Syrokomla. Janko Cmentarnik, gawęda lud.	4
3) Kraszewski. Ostap Bondarczuk, powieść.	4
4) Słowacki. Kordjan, obraz dramatyczny	7
5) Krasiński. Przedświt, poemat	4
6) Pług Adam. Sroczka, obrazek zaściankowy	7
7) T. T. Jeż. Asan, powieść historyczna	12
8) Wołowski L. O pracy dzieci	2
9) Mazurkiewicz. Demokracja Polska	6
10) Goszczyński. Król zamczyska, powieść	7
11) Wołody Skiba. Kanarki, powieść	15
12) Słowacki. Mindowe, obraz historyczny	5
13) Syrokomla. Ułas, sielanka bojowa	4
14) Kochanowski. Pieśni, ksiąg czworo	8
15) Kraszewski. Jaryna, powieść	11
16) Wernicki. O prześladowaniu kościoła	8
17) Nałęcz. Renegat, powieść	8
18) Puzynina. Jadwiga, dramat hist.	8
19) Syrokomla. Kęs chleba, gawęda	4
20) Sowa Antoni. Jordan, fantazja	9
21) Czajkowski. Wernyhora, powieść historyczna, 2 tomy	24
22) Pług Adam. Przyjaciele, bajka	7
23) Okólnik księdza Piotrowicza o gwałtach moskiewskich	3
24) Wołody Skiba. Kwiat z Sumatry, powieść	15
25) i 26) Słowacki. Ojciec zadżumionych. W Szwajcarji	3
27) Zmorski. Lesław, fantazja	4
28) Sawaszkiewicz. Porównanie wypraw na Moskwę Żółkiewskiego i Napoleona I.	6
29) Brodziński. Wiesław, sielanka	6
30) Zieliński. Kirgiz, powieść	6

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.